Zaczarowany Dom pod Wiewiórką

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Maria Kuncewiczowa, fot. Danuta Rago.

...Jerzy, jak mam sobie wyobrażać tę przestrzeń czy ten żywioł, czy ten byt, gdzie ty teraz jesteś? Patrzę na to samo, na co kilka miesięcy temu i przez sześćdziesiąt lat przedtem

> patrzyliśmy razem i widzę co innego. Wisła płynie i niebo się smuży obłokami, promieniami, wspomnieniami, ale tylko po wierzchu… Szeptałam czułe wyrazy z żarliwością, jakiej skąpiłam, kiedy byłam młoda. Teraz omdlewam z żalu: dlaczego? Dlaczego szczędziłam tak długo tej mowy erotycznej, jedynej prawdy serca? Zaklinałam ciebie: Usłysz! Słuchaj, jak ja ciebie kocham, jak pragnę, jak dziękuję!… Otóż i prawda ostateczna: na rzecz najważniejszą zawsze czasu zabraknie…

Maria Kuncewiczowa*: Listy do Jerzego*

Drewniany dom projektu Karola Sicińskiego stoi na wzgórzu, na końcu Wąwozu Małachowskiego. Ogrodzony gęstym parkanem drzew i krzewów, jest prawie niewidoczny. Skrzypnięcie furtki, długa aleja, kwiaty przed tarasem. Czuję zapach róż. Nie zdążyłam zapukać. Maria Kuncewiczowa zobaczyła mnie przez okno.

– Ale po coż te kwiaty – uśmiecha się pisarka, patrząc na ogromny bukiet herbacianych pąków.

A więc to jest dom, który znam doskonale z *Kluczy*, *Fantomów*,

Natury. To nad nim świecą *dwa księżyce*. To tu w ciszy, zieleni i w zaczarowanym kole artystycznych zdarzeń powstają myśli, słowa, zdania. Z niemego odrętwienia i chęci zapamiętania wszystkiego od razu i na zapas wyrywa mnie ciepły głos. Autorka *Dwóch księżyców* prowadzi przez sień, pokój z kominkiem, salonik z widokiem na taras. I opowiada. O każdym sprzęcie, o pamiątkach i ich historii. Ile razy i ile osób musiało już to słyszeć. A jednak, mam wrażenie, że pisarka mówi po raz pierwszy i to tylko do mnie.

Ciepła, uśmiechnięta gospodyni, w długiej czarnej spódnicy, białej bluzce zakończonej żabotem z wpiętą starą broszą-kameą, z włosami swobodnie upiętymi w górze, zwraca moją uwagę na wszystko od początku. Powoli wprowadza mnie w klimat swojego świata, który budowała ponad 90 lat, złożonego z tak wielu elementów, przeżyć, wspomnień, uczuć. Świata, z którego większość bliskich już odeszła. Do męża Jerzego pisze codziennie listy. Na syna Witolda, który wybrał wolność za Oceanem w odległej Ameryce, czeka co roku. A wnuk Adam… *ogromny, brodaty, łagodny i obcy* nigdy tu nie przyjedzie. Dom żyje swoim życiem, wypełniony spełnionymi i niespełnionymi marzeniami i myślą o uciekającym czasie, który trzeba do końca wykorzystać.

We wnętrzu moją uwagę zwracają sosnowe bale. Równo poukładane stanowią zasadniczą konstrukcję ścian, a podwieszone, są ozdobą na wzór staropolski. W największym

pokoju sufit przypomina wspaniałą kasetonową mozaikę, a w holu zaprojektowano strop w desenie. Posadzkę ułożono z czarnych, wiślanych dębów. Drzewa te przez wiele lat leżały zatopione w wodzie, dzięki czemu uzyskały dużą twardość, odporność i czarny kolor. Wyglądają jak heban. Nad kominkiem wisi świecznik. Duży, czarny, surowy, rozłożysty, a w nim rząd świec.

– To meksykański – mówi pisarka, idąc w ślad za moim wzrokiem. – A w kominku już od dawna się nie pali, bo zamieszkały tu ptaki.

Z prawej strony kominka wąskie schody, ozdobione giętą poręczą, prowadzą do pokoi na piętrze. Z kutego metalu wyłania się wiewiórka rozsypująca orzechy, układające się w inicjały M.J.W.

– To są inicjały moje, męża i syna. Dom ten miał się kiedyś nazywać „Domem pod Wiewiórką”.

Środek holu zdobi czarna, ciężka, metalowa latarnia.

– Wykonał ją świetny artysta, pan Sobko z Kazimierza. To jedyny przedmiot, który ocalał z rzeczy przedwojennych. Było tu przecież spustoszenie. Niemcy wynieśli wszystkie książki, obrazy, meble i spalili.

…w przededniu całopalenia Polski polubiłam rzeczy – przypomina mi się fragment „Fantomów” – Że to stanie tu. A tutaj potrzebne jest tamto. Czy coś dobrze wisi, czy się zamyka, czy błyszczy, nie skrzypi, nie kuleje. Dom okazał się istotą. Złożony z miliona komórek miewał rumieńce, bywał blady, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną, razem ze mną zasypiał, ale w nocy dziwniał, snuł swoje osobne życie – belki wzdychały, roniły żywicę, lasowało się wapno, wyły kominki, osiadały kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olchowe gonty, śnił się kamieniołom nad rzeką… Dom gęstniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wrastał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była. (…) Siciński zbudował go jak pudełko samowystraczalne w ramach swojej architektury, nie wymagającej innych ozdób niż światło i harmonia. Wszechstronnie oszklony, wewnątrz złoty i kremowy, pachnący berwionami, rzeczy zbyteczne odrzucał. Za to rzeczy, które przyjął stawały się podwójnie własne: nasze i domu.



Willa pod Wiewiórką, fot. Mateusz Stachyra, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

A potem

> …patrzyłam na dom, w którym po 10 latach przygotowań mieszkałam cztery miesiące. Pierwszy własny dom w rodzinie odkąd prapradziad zaprzepaścił swoją Psią Wólkę wstępując do Legionów we Włoszech. Ale nie było czasu na podejrzenia, zaraz odjechaliśmy.

Zaskrzypiała „hebanowa” podłoga i znalazłam się w widnym pokoju z widokiem na las. Ściany pełne obrazów. Kilimy, książki. Pod oknem duże biurko, a na nim fotografia papieża i rozrzucone kolorowe albumy, m.in. ze zbiorami na Wawelu.

– To jest biurko Wyczółkowskiego – objaśnia gospodyni, otaczając mnie uśmiechem – Meble kupowaliśmy z mężem po wojnie. Większość z nich pochodzi z antykwariatu w Radomiu. Na podłodze położyliśmy wschodnie kilimy. A tu w rogu stoi nasza biblioteczka, z książkami moimi, męża i bratanka, Jana Józefa Szczepańskiego. A o… tu… to jedna z ostatnich fotografii męża…

Rysunki, obrazy. To Londyn po zbombardowaniu, a to plakat do *„Cudzoziemki”* . Wszystko piękne, wszystko ma jakąś treść, wiąże się ze wspomnieniami, żyje swoim życiem i ma duszę. – A to są projekty kostiumów wykonane przez Irenę Lorentowicz – mówi Maria Kuncewiczowa – To ona projektowała kostiumy i scenografię do „Harnasi” Szymanowskiego w Paryżu.

Irena Lorentowicz, serdeczna przyjaciółka Marii Kuncewiczowej *…dziewczyna w wielkim kapeluszu słomianym, w sukni białej, dziewczyna z książki o przygodzie, dziewczyna-obraz* wiązała się nierozerwalnie z Kazimierzem, „cygańskim życiem” i artystyczną przygodą. Kazimierska malarka, wtopiona w nadwiślański pejzaż stanowiła jego stały element. Zaprowadziła kiedyś pisarkę po

darniowych schodkach na wzgórze, gdzie w kwitnącym sadzie stała mała chatka i powiedziała: – Tu powinnaś zamieszkać.

…Widywałam ją potem w Warszawie – pisała Maria Kuncewiczowa – *gdzie nosiła suknie uroczyste, wizytowe, jak przystało na córkę dyrektora Teatrów Warszawskich, znakomitego krytyka, Jana Lorentowicza (…) Widywałam ją też w Paryżu w aksamitnym berecie, z bukiecikiem fiołków, szczęśliwą mieszkankę rue Fridevaux na bohemiańskim Montparnasie.*

> …Jerzy od niedawna nie ma Reni. Nie ma jej w mieszkaniu na ulicy Gamerskiego w Warszawie, gdzie przez 20 lat opalizowały stare szkła na mahoniowych komodach, gdzie piętrzyły się teki ze szkicami kostiumów Lifara i innych koryfeuszy baletu i opery w Paryżu, Warszawie, Nowym Jorku. Nie ma na ścianie portretu Jana Lorentowicza, którego intelektualne i męskie czary sączą się jeszcze z dzienników Zofii Nałkowskiej i listów anty-dulskiej Gabrieli…

Ale Irena Lorentowicz na stałe zamieszkała w kazimierskim domu, w jasnym pokoju z widokiem na brzozy. Jest jedną z tych bliskich osób, które stanowią o jego całości, wypełniają jego komórki, wtapiają się w jego zaczarowaną duszę.

Przechodzimy do dużego salonu z kasetonowym sufitem. Ciemny

strop, ciemne ściany, duży okrągły stół. Uwagę moją przyciąga egzotyczny wzór na ścianie, wyłaniający się z ciemnej czerwieni, stopniowo przechodzący w miękkość i jedwabistość.

– *Ta płócienna, ręcznie haftowana makata pochodzi z Turkiestanu, z Czun. Nazywaliśmy ją „płachtą turkiestańską”. Przywieziona do Polski przez rodzinę Stanisława Marii Salińskiego, była darem pożegnalnym chińskich kupców dla jego ojca. W książce „Ptaki wracają do snów” Saliński pisze o przekazaniu jej w naszym domu na Placu Trzech Krzyży w Warszawie.*

Z kultury dalekiego wschodu przenoszę się na tereny bliższe, głęboko osadzone w historii. Piec huculski, unikalne dzieło ludowej sztuki, wyłaniający się z całej gamy miękkiej zieleni, przechodzący przez wszystkie jej odmiany i odcienie, zrobiony został z trzech starych pieców. Wprawdzie już się w nim dzisiaj nie pali, żeby kafle nie popękały, ale wygląda imponująco. Dla Marii Kuncewiczowej ma on jakąś zaklętą tajemnicę, więc wprowadza mnie w jego baśniowy świat objaśniając symbole zamknięte w huculskich rysunkach. Piec przypomina

> …wszystko, co kiedykolwiek się śniło czy iściło w repertuarze naiwnej wyobraźni: okruchy Biblii, szwajcarskie sielanki Słowackiego, dumki-szumki pośród słoneczników,

> wańki-wstańki, żar-ptaki i czerwone jaja. A wszystko na płachcie Aladyna, ukazane przez szparę, dziejące się ponad czasem…

Oprócz nierealnego klimatu baśni jest w nim symbolicznie zamknięta historia. Wyrastające z krzyża dwa pędy drzewa, kończące się głowami orłów obrazowo przedstawiają schizmę wschodnią.

Pod ścianą inny szczegół ludowej sztuki. Kołowrotek i krzesełko szewskie. Obok wysoka, ciemna rzeźba z drzewa oliwkowego.

Przepiękne, lśniące lustro należące do Heleny Modrzejewskiej. Ozdobny dzbanuszek z warsztatu Pabla Picassa, gdzieś tam znów fragment obrazu Diego Rivery.

> …mówiono mi zawsze, że przedmioty są martwe i złośliwe. Nieprawda. Serwantki, sekretarzyki, fotele i krzesła zachowały ciepło rąk stolarzy domowych, w dotyku są gładkie i przychylne fantazjom nowych waścicieli, obrazy zaś opowiadają życie utrwalone przez kazimierskich malarzy…

Moją uwagę przykuwa wiszący na ścianie ogromny olejny obraz w złotej ramie, nie pasujący do otoczenia. Idąc za moim

pytającym wzrokiem gospodyni wyjaśnia – W tym miejscu wisiał portret mojego męża, malowany przez Władysława Filipiaka. Zabrano mi go chwilowo na wystawę, a w zamian dostałam ten. O, a tam, za piecem wiszą jeszcze dwa portrety, mój i męża, malowane przez Antoniego Michalaka…

> …Jerzy, jakże pięknie Nasierowska zdołała aparatem fotograficznym uchwycić ciebie na gorącym uczynku istnienia. (…) Stojąc tam przed tobą mówię co rano: Jestem. I ty jesteś. Dziękuję za nasze długie piękne życie i modlę się, żeby ono trwało. (…) Poprzez czas i przestrzeń dajesz znak, że nie zerwała się więź miedzy żyjącą a umarłym…



Maria Kuncewiczowa w sypialni, fot. H. Dębski, Muzeum Nadwiślańskie – Kuncewiczówka w Kazimierzu Dolnym.

W pewnym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że chociaż Jerzy Kuncewicz już nie żyje, to jednak jest wszędzie obecny. Jest w całym domu, w każdym sprzęcie, w fotografii na półce z książkami. Nic się nie zmieniło. Dalej pomaga żonie w pracy,

jako współtwórca każdej minuty układanej codziennie pracowicie i z sercem.

> Jest we mnie bardzo wyraziste poczucie obecności drugiego człowieka – powiedziała kiedyś pisarka w wywiadzie – oraz poczucie odpowiedzialności za kogoś. Teraz, po sześćdziesięciu latach małżeństwa, tzn. życia w tym samym domu, albo w tym samym pokoju, zdaję sobie sprawę, że przez sześćdziesiąt lat słyszałam bicie serca drugiego człowieka, oddychałam tym samym powietrzem (…) Materialną okolicznością, która utwierdziła naszą wspólnotę było to, że drugi człowiek, z którym się sprzęgło moje życie, wybudował mi dom (…) Pochodzę z rodziny od dawna bezdomnej, tzn. rodziny, która miała zawsze przyzwoite mieszkania, ale to nie były domy, to zawsze było coś wynajętego. A tutaj nagle okazało się, że jestem w domu, który otaczają drzewa, które też do mnie należą. Ten kawałek nieba też do mnie należy, bo moje okna patrzą na to niebo…

Spojrzałam na duży wazon z suchym bukietem. Zastygłe kolory, zatrzymane w bezruchu, pękate lub drobne kształty, tworzą malarską kompozycję z obrazu.

> Moje suche bukiety, nieśmiertelniki, osty, głogi mają inny cel: pomagają mi widzieć życie trwalsze niż to moje, wilgotne, gnijące.

Takie nieprzemijające piękno, jak to, zamknięte w suchych bukietach, jest w całym domu. Domu wymarzonym i własnym. Miejscu, do którego tęskni się całe życie i do którego zawsze się wróci. Domu, od którego klucza nigdy się nie zgubi.

Dom w Wąwozie Małachowskiego, będący młodopolskim skrzyżowaniem dworu i chaty góralskiej, łączy w sobie wiele sprzeczności. Otwarty na świat i ludzi. Często odwiedzany, przyjmujący głosy z całego świata. Wciąż piszą studenci z Ameryki, znajomi, przyjaciele z różnych stron ziemskiego globu. Piszą też zwykli ludzie, zupełnie obcy, którzy po prostu chcą się „wyspowiadać", zrzucić z siebie żale i troski. Dom ten wszystkich zmieścił. Dla każdego serdeczny, każdy coś otrzymał: cenną chwilę czy uśmiech. Maria Kuncewiczowa odpisuje na wszystkie listy *bo przecież grubiaństwem byłoby nie odpowiedzieć.* A jednocześnie dom ten jest bardzo prywatny, wręcz intymny, szczelnie, hermetycznie zamknięty. Wchodząc do niego, wydawało mi się, że przekraczam barierę cudzego życia, jego codzienności i niecodzienności. Że dostaję się do cudzych marzeń i tajemnic, które wprawdzie są wciąż „sprzedawane", ale nadal należą do autora. Jest to przecież dom, nie „namiot".

Mieszka tu Róża z *Cudzoziemki*, Piotr Krzysztofowicz z *Leśnika*, brat, mąż i wszyscy bliscy.

„Kuncewiczówka" jest światem w miniaturze. Zgromadzone pamiątki mają ogromny zasięg geograficzny i przekrój historyczny. A mimo to, przede wszystkim czuje się tu Polskę. Po wielu latach emigracji Kuncewiczowie zdecydowali się przyjechać do Kazimierza, bo nie wyobrażali sobie, żeby umrzeć na obcej ziemi.

Maria Kuncewiczowa zaprasza mnie do stołu. Białe wino i sernik domowej roboty. Chwila rozmowy nie związanej z domem. Zapytana o moje plany, chęci i marzenia, łapię się na tym, że odczuwam potrzebę opowiadania o rzeczach ważnych i błahych.



Kuncewiczówka, wnętrze domu, fot. Kamil Ruciński.

Chwila ciszy. Promień zachodzącego słońca wpadł do pokoju i zatrzymał się na pąku herbacianej róży. W powietrzu unosi się zapach kwiatów, wina, słońca i starego drewna. Nieubłagany zegar wybił następna minutę. Wydawało mi się przez moment, że to *dwa księżyce srebrną sanną spłynęły po niebie, uderzyły z brzękiem o szybę, do pokoju wpadły zimne i błyszczące.* Coś magicznego jest w tym domu. Jestem nie tylko tu, ale i wszędzie, nie tylko teraz, ale i kiedyś. A autorka tego czarodziejskiego

świata wydaje mi się kimś bliskim, kimś z rodziny, o kim się mówi dobrze, że jest. Dzielę się swoim spostrzeżeniem i podaję książkę do podpisu. Słychać skrzypienie pióra.

Na pamiątkę jeszcze jednej rozmowy, tym razem kazimierskiej. Maria Kuncewiczowa. Dom pod Wiewiórką 1987.